

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

17)

ROZDZIAŁ II.

Powodzenie klamry złotej.

W chwili, gdy się drzwi otworzyły, oślepił mnie przedewszystkiem silny blask, poczem obit mi się o uszy głuchy, chaotyczny szmer licznych, zmieszanych głosów. Po chwili oswoiłem się z blaskiem i szmerem, więc zdać sobie mogłem sprawę z niezwykłej sceny, przedstawiającej się moim oczom.

Znajdowałem się w olbrzymiej komnacie, umeblowanej zbyt kornie, lśniącej ozdobą pałapu, gzymsów i szlaków. Wspaniały kobierzec perski zaścielał posadzkę; ściany pokryte były malowidłami, może nieco za jaskrawymi, których jednakże poprawny i pełen wytwornego smaku rysunek wywierał na patrzącego przyjemne wrażenie. Między obrazami zwracały na siebie uwagę ogromne w złotych ramach zwierciadła, odbijające w sobie promienie, spływające z pięknego szklanego pajaka weneckiego, zwieszającego się w pośrodku sali z sufitu. W różnych kątach komnaty, na stolikach i konsolach, dostrzedz można było brązowe świeczniki z woskowymi palcami się świecącymi. Wygodne fotele i sofy, ustawione symetrycznie, wypełniały znaczną część salonu. Nikt jednak na nich nie siedział, wszyscy bowiem goście skupieni byli pod zyrandolem.

Liczba ich dochodziła może trzydziestki, a sądząc z powierzchowności, należeli do różnych sfer społecznych. Niektórzy byli ubogo, a nawet nędźnie ubrani; inni zaś, prócz wykwintnej odzieży, mieli drogocenne kamienie w gorsach koszul, w pierścieniach, na palcach rąk i przy złotych łańcuchach od zegarków. Nie brakło między nimi i kobiet. Niejedna z nich zasłaniała twarz maską z czarnego atlasu lub aksamitu.

Charakterystycznym rysem dziwnego zgromadzenia była nadzwyczajna, pełna namietności baczność, z jaką wszyscy i wszystkie zdawały się czuwać nad stołem, stojącym między nimi. Gdyśmy weszli, zwróciliśmy na nas wzrok zaledwie na moment, co pozwoliło mi zatrzymać się przy drzwiach parę minut i przybrać minę człowieka, którego całe to towarzysztwo nie zajmowało wcale. W ciągu owych paru minut objąłem spojrzeniem wszystko, co stanowiło główną cechę nowego dla mnie widoku.

Jak już napisałem wyżej, wszyscy goście ugrupowani byli około środkowego, podłużnego stołu. Jedni siedzieli, drudzy stali za swymi krzesłami. W pośród pierwszych spostrzegłem najdziwniejszy typ kobiety, jaką kiedykolwiek w życiu mojem spotkałem. Siedziała w końcu stołu, była bardzo stara, o tak pomarszczonej twarzy, że oblicze jej wydawało się jakąś tkaniną głęboko na skórę wrytych i pogmatwanych linii. Płeć miała — nawet przy blasku świec — zupełnie złotą, i to w takim stopniu, jakiego dosięgnąć nie mogą lica chorych na żółtaczkę. Pomimo sędziwego wieku znać było, że musiała niegdyś być bardzo piękną. Obecnie jeszcze poruszała się z wielką swobodą i z bezwzględną pewnością siebie. Oczy jej były czarne jak węgle i jak węgle żarzyły się czerwonym połyskiem. Zdawało się, że ich nigdy nie mruży i że jej źrenice nie zmieniają ani na chwilę bystrego, pełnego dziwnej mocy wyrazu.

Niezwykła owa kobieta wzbudzała przedewszystkiem zajęcie wśród filistrów i profanów — nie swymi oczami, ani zmarszczkami na policzkach, ani nawet picią przeraźliwie złotą — lecz nadzwyczajną ilością klejnotów, któremi była przystrojona. Siedząc pod jarzącym się od światła pajakiem, iskrzyła się formalnie cała, jak ogromny jakiś klejnot, składający się z tysiącznych drobniejszych. Za każdym poruszeniem zwinnych rąk, setnemi ognikami migotały brylanty na jej palcach; za każdym obróceniem się zmarszczkami pooranej szyi, grały w jej naszyjniku tęczowe połyski różnobarwnych swiatełek; a równocześnie jej zimne oczy błyszczały jaskrawo jak drogocenne, kunsztownie oszlifowane kamienie.

Gdyśmy wchodzili, zajęta była grą. Spojrzała na nas przelotnie tylko raz jeden, lecz wzrok jej, zaledwie sekundę spoczywający na nas, wydał mi się tak chłodny i nieludzki, że mimowoli zastanowiłem się, żali mam przed sobą istotę, należącą do ziemskiego świata, czy jakąś wiedźmę piekielną. — W rzeczy samej, całe to towarzystwo podobne było

do jakiegoś dyabelskiego zgromadzenia, któremu przewodniczyła kobieta-szatan.

Gdyśmy tak stali przy drzwiach, rozległ się w całej sali czyjś głos donośny, wołający: „ciszej!“ Nastąpiło momentalne milczenie. Kobiety i mężczyźni, z oddechem zapartym w piersiach, pochyliłi się, pilniej i baczniej spoglądając na stół. Teraz inny głos jakiś zawołał: „Numer trzydziesty pierwszy!“ I wnet potem zahuczał znowu głuchy szmer zmieszanych głosów, pełen gniewnych wykrzykników i pomruku niezadowolenia.

Wówczas dopiero owa ubrylantowana niewiasta zwróciła się do nas i przemówiła:

— Wejdźcie panowie i zbliżcie się, bardzo proszę. Zle wybrałście moment, bo bank wygrywa... pomimo to, pozdrawiam panów najuprzejmiej.

Spojrzała na nas swoim dziwnym wzrokiem. Był on — a wątpię, czy zdołam określić go dość zrozumiale i ściśle — równocześnie bezwzględnie czujny i najzupełniej bierny. Co jednak dziwniejsza, że głos jej zaprzeczał podwójnie obu określeniom, był bowiem słodki, o subtelnej modulacji szlachetnego dźwięku, czarującego słuch, jak dobrze odśpiewana piękna melodia.

Inni, postyszczawszy ją przemawiającą do stojących przy drzwiach, obrzucili nas chwilowem, obojętnem spojrzeniem, poczem natychmiast, z większą jeszcze bacznością, na stół zwrócili oczy.

W ten sposób przyjęci, zbliżyliśmy się na środek pokoju i zaczęliśmy przyglądać się grze i grającym. Nigdy gdzieś indziej nie widziałem rulety, nie wiem zatem, czy jej akcesoria posiadają inne jakie odmiany; opisuję te, na które patrzyłem w domu gry na Leicester Square *).

Stół, o którym już powiedziałem, że miał kształt podłużny, pokryty był na szerokość około jednej stopy od brzegu lekką zieloną materią wełnianą, na której leżały mniej więcej dość znaczne kupki złota i srebra. Pewien rodzaj okrągłej i średnio głębokiej dziury w środku stołu wypełniał czop, na którym obracała się w kółko, ręką popchnięta, długa strzałka. Wszystko razem było pociekad podobne do marynarskiej busoli, tylko zamiast północy, południa, wschodu i zachodu, stół w około dziury podzielony był na kratki, czyli raczej przegródki, naprzemian czarne i czerwone. Każda z nich nosiła nadto na sobie cyfry od 1 do 36, ostatnia zaś 0. Słowem, było razem trzydzieści siedm przegródek, ta zaś, na której figurowało zero, znajdowała się naprzeciw przewodniczącej zebrania.

W chwili, gdy gra rozpoczęła się na nowo, grający umieścili swoje stawki to na jednej, to na drugiej z wybranych przez siebie przegródek. Zauważyłem, że stawiano również na kolor czarny lub czerwony, a niekiedy na trzy dwunastki od 1—12, od 13—24 i od 25—36. Gdy już wszyscy poobstawiali wybrane kratki, ubrylantowana staruszka pochyliła się nad stołem i wprawiła strzałkę w obrót zręcznem poruszeniem ręki.

Trzykrotnie to uczyniła i po trzykroć zaniepokojone twarze graczy pochyliły się nad obracającą się w kółko strzałką, a po pomruku — jaki rozległ się w około mnie po ostatnim obrocie — zrozumiałem, że bank był grubo wygrany.

Właścicielka zakładu podniosła wtedy oczy w górę i rzekła do Lovedaya:

— Jeśli się nie mylę, to pan byłeś już tu kiedyś, i o ile sobie przypominam, grałeś nieszczęśliwie. Jeśli tym razem grać zechcesz, zbliż się i usiądź przy mnie, może przewiesz nareszcie seryę powodzeń bankowych, bo naprawdę czuję się znużoną i niezadowoloną tą ciągłą wygraną. Albo, co mi się poniekąd zdaje korzystniejszem dla pana, namów do gry tego ładnego chłopca, prawdopodobnie pańskiego przyjaciela, który przyszedł tutaj razem z tobą. Czy pan grywał już kiedy? — zapytała, zwracając się ku mnie.

Znaczącem poruszeniem głowy odpowiedziałem, że nie grałem nigdy.

— Tem lepiej! Fortuna sprzyja zwykle debiutantom. Jeśli sprawdzi się moje proroctwo, czuć się będę wynagrodzoną, że zasiadzie przy mnie taki piękny młodzieniec.

Co powiedziawszy, zajęła się znowu wprawianiem w ruch strzałki.

Po jej prawej ręce siedział starszy człowiek o siwych włosach, wynędzniałej twarzy i oczach jak u wilka. Godziło się przypuszczać, że zrozumie sens wyrazów, wypowiedzianych przez panią domu i usunie się z zajmowanego miejsca, lecz biedak, widocznie pochłonięty grą, nie słyszał, co mówiła. Poruszył się

*) Opisana przez autora ruleta należy do dawnego systemu; dzisiejsza różni się tem, że wygrywające numery oznaczają nie strzałką, lecz gałką, rzuconą na w ruch wprawioną misę metalową z liczbami i kolorami.

wprawdzie, lecz tylko dlatego, żeby się bardziej pochylić nad stołem.

Tom szepnął mi do ucha:

— Kasprze, wszakże masz pieniądze przy sobie. Więc jeśli w rzeczy samej pragniesz swój szalony zamiar doprowadzić do końca, usłuchaj dobrej rady, weź krzesło, siadź i graj.

— Ty już tu byłeś — odparłem — i znasz lepiej grę odemnie.

— Tak, byłem tu, na moje nieszczęście!... Nie, nie, mój drogi! Pomysł twój, więc ty go spełnić musisz. Ja nie wierzę w ogólności w moje powodzenie, a co do znajomości gry, przypatrz się uważnie jednemu lub dwu obrotom, a będziesz wiedział tyle, co i ja. To rzecz bardzo prosta!

Bank wygrywał ciągle.

Po lewej stronie właścicielki zakładu siedział gruby jegomość, trzymający w ręku małą łopatkę, którą zgarniał wygraną bankową. W około widziałem twarze, na których przeważnie malowała się męczarnia dusz, torturowanych namietnością. Nawet lica wygrywających — było ich bardzo niewiele — wyrażały względne tylko zadowolenie, prawie każdy bowiem bał się okropnie, myśląc co go czeka później. Ten stan moralny, połączony z fizycznym rozdrażnieniem nerwowem, sprawiał, że wszyscy czuli się zajęci tylko coraz bardziej uszczuplającymi się kupkami pieniędzy, obracającą się strzałką ruletową i iskrzącymi się palcami kobiety, wprawiającymi strzałkę w ruch obrotowy. Co zaś do niej samej, siedziała zupełnie spokojna, zimna i obojętna, przyglądającą się całej, dobrze jej znanej scenie, jak sfinks jaki, przystrojony drogocennymi klejnotami.

Gdy na nią patrzyłem, oraz w miarę jak widziałem strzałkę, obracającą się, zatrzymującą i kręcącą znowu, czułem się i ja owładnięty szalonym podnieceniem, panującym w całym zgromadzeniu. Błyszczące nagle pani domu czarowały mnie jak oczy węża, czyhającego na upatrzoną ofiarę. Gorąco, światło, szmer zmieszanych głosów, uderzały mi na mózg niby mocne, stare wino. Brzęk i połysk krążącego złota, zgrzytliwy głos łopatek z łopatką, wołającego w regularnych odstępach czasu: „Panowie! kładźcie wasze stawki!“ Wreszcie mechaniczny bieg i rozwój gry, wprawiały mnie w osłupienie i w pewien rodzaj pomieszania zmysłów. Zapomniałem o istnieniu Toma i przyczynie, która nas tu sprowadziła, zapomniałem nawet, gdzie się znajduję, tak byłem cały pochłonięty nowym dla mnie widokiem i nowem, nieznanem dotąd wzruszeniem. Pochyliłem się nad strzałką, wprawioną w wirowy obrót, jak najzagorzalszy i najzacieklejszy z graczy.

Wyprowadziło mnie z osłupienia głośnie przekleństwo, wyrzucone gwałtownie ze ściśniętego spazmatycznie gardła. To człowiek o siwych włosach zaklął tak straszliwie. Podniósł się z krzesła i opuścił stół niepewnym krokiem, z wyrazem rozpaczony w oczach. W chwili, gdy powstawał, palce pokryte lśnjącymi pierścieniami skinęły na mnie niemal nieznanie, ja zaś, zrozumiałwszy to skinienie, poskończyłem, aby się rzucić na opróżnione krzeselko.

Bank wygrywał ciągle.

Po lewej ręce pani domu wznosił się olbrzymi stos złota i srebra, pochłaniający w dalszym ciągu mniejsze kupki, ustawione na czarnych i czerwonych przegródkach. Dotychczas ubrylantowana dama kiedy niekiedy tylko przemówiła słówko, teraz jednakże — gdy strzałka kręciła się jeszcze, a następnie zwalnając powoli swój ruch wirowy, zatrzymała się nareszcie przy akompaniamencie głuchych lub głośniejszych wykrzykników — spojrzała na mnie i rzekła:

— Obecnie kolej na pana! Masz rozbić bank. Bierz się do dzieła odważnie, bo ja cieszyć się będę pogromem, jeśli go dokona taki piękny, jak pan, mężczyzna.

Spojrzałem w stronę, gdzie stał Tom. Zadowolnił się skinieniem głowy, oznaczającym zgodę, postawiłem więc pół korony na przegródkę czerwoną z numerem dziewiętnastym. Sąsiadka, udając widocznie, że nie dostrzegła mizernej cyfry mojej pierwszej stawki, pochyliła się nad stołem i puściła w ruch strzałkę. Ja także pochyliłem się nieco i w chwili, gdy strzałka zatrzymała się, ujrzałem pieniądź mój, wraz z innemi, znacznie wyższemi kwotami, ściągnięty do wielkiego bankowego stosu.

— Zły początek — szepnął słodki głos przy mnie. — Spróbuj pan jeszcze!

Spróbowałem raz drugi i trzeci — i za każdym razem postawione przezemnie pół korony połączyły się z pierwszą.

Mogłem już tylko raz jeden próbować szczęścia.

Blady i zmieszany wy dobyłem ostatnią pół-koronę i postawiłem na kolor czarny. Właścicielka zakładu błyskawicznym ruchem ręki popchnęła strzałkę. Kręciła się i kręciła szybko, jakby zatrzymać się nie